

moimi krokami paraliżować tylko będzie moje ruchy i popsuć moje zamysły.

— Kiedy pana zobaczę?

— W dniu, w którym będę mógł panu wydać mordercę i przyniosę niezbite dowody jego winy, przyjdę tutaj.

Mówiąc to, Cypryan Leduc skłonił się przed panem Richard i wyszedł z gabinetu.

Tymczasem, kiedy poprzednie fakta rozwijały się, w Paryżu, na przedmieściu Belleville, wydarzył się następujący wypadek dramatyczny, który byłby dostatecznie objaśnił pana Richarda, gdyby był o nim wcześniej powiadomiony.

## V.

Istnieje w Belleville dzielnica bardzo oryginalna, składająca się z wąskich uliczek, mało znanych mieszkańcom bulwaru Montmartre. Cała ta dzielnica jest bardzo mało uczęszczana i mało ruchliwa. Gdziekolwiek spotkać można parę sklepików, nędznych owocarni i handelków, mieszczących się w niskich domkach drewnianych, brudnych, w których żyje ludność najbiedniejsza, przeważnie nie mająca żadnych dochodów stałych i określonego zawodu.

Te rzadkie domostwa odgródzone są od siebie wysokimi murami, poza którymi dostrzedz można niewielkie ogrody zaniedbane, o karłowatych, nawpół uschniętych drzewach. Pośrodku tych ogrodzeń, których ani praca, ani cierpliwość nie potrafi uczynić urodzajnymi, tak teren ich jest mało podatny do uprawy, wznoszą się pawilony, tak harmonizujące z nędznym otoczeniem, że nazwałby je można właściwie więzieniami, lub szopami. Żadne odgłosy z zewnątrz nie dochodzą tu nigdy, a mieszkańcy tych nor mogą w nich żyć samotnie i, nie niepokojeni przez nikogo, tak, jak gdyby się znajdowali na pustyni, lub pośród dziewiczych lasów Afryki.

W jednym z tych pawilonów mieszkał dziwny i oryginalny człowiek. Nikt z oddalonych i licznych sąsiadów nie wiedział, kim on był właściwie. Wiedzano tylko tyle, że mieszka tu w towarzystwie drugiego człowieka, który musiał być jego służącym, lub też prędzej rządcą.

Tego ostatniego znano pod imieniem pana Grzegorza, co zaś do jego pana, to nazwisko jego było okryte taką tajemnicą, że wkrótce przezwano go „nieznajomym z Belleville”.

Zresztą nikt nie miał ochoty badać zbliska tej tajemnicy. Nieznajomy i jego towarzyszy byli spokojnymi ludźmi, nie zajmującymi się tem, co się dzieje poza ogrodzeniem ich willi. Dostawcy, którzy mieli z nimi do czynienia, byli zawsze regularnie wypłacani i nie żądali niczego więcej.

Pan Grzegorz był człowiekiem bardzo metodycznym. Wychodził co rano za sprawunkami i powracał wkrótce przez wąski pasaż Dueé, nie pokazując się już więcej przez dzień cały. Miał lat około czterdziestu, skąpy w słowach i nie mówiący nigdy o swoim panu. Nikt nie wiedział, od ilu lat był w służbie „nieznajomego”, ani również, czy ten ostatni stary był, czy młody, wysoki, czy niski.

Od strony pasażu Dueé wszystkie okna pawilonu były zawsze szczelnie zamknięte. Gdyby nie codzienne, krótkie wyjścia pana Grzegorza, sądzić by można, że budynek ten nie był wcale zamieszany.

Raz tylko, w roku 1904 na początku kwietnia, dwaj sąsiedzi utrzymywali, że widzieli „nieznajomego”, ale dawali o nim tak sprzeczne określenia, że nikt na ten fakt zresztą nie zwrócił uwagi. Jeden z nich twierdził, że był młody, drugi zaś, że stary, niski i całkiem siwy.

Jednakże obydwaj sąsiedzi mieli słuszość. Nieporozumienie ich zaś nastąpiło z tego powodu, że jeden z nich widział „nieznajomego” rano, kiedy wychodził z pawilonu, a drugi w odstępnie paru dni wieczorem, kiedy powracał już do siebie.

Ten, którego widział rano, był młodym człowiekiem, dostrzeżony zaś wieczorem człowiek, był starcem podagrycznym, kulejącym na nogę.

Gdyby wiedzano, że młody i starzec byli jedną i tą samą osobą, ciekawość sąsiadów byłaby obudzoną i mogła być powodem wielu niekorzystnych i złośliwych posądzeń. Na szczęście jednak dla mieszkańców pawilonu, nikomu to na myśl nie przyszło i tajemnica ta nie została odkryta.

Zresztą sześć miesięcy upłynęło już od tego czasu i fakt ten zatarł się w pamięci sąsiadów. Odtąd widywano pana Grzegorza, jak przedtem, wychodzącego co rano z pawilonu, którego okna

nadal były zamknięte, nie przepuszczając szmeru najmniejszego.

Nadszedł 5. listopada. Na dzień przedtem rozbiegła się w Belleville wiadomość, że nieznajomy z pawilonu zamierza odbyć dłuższą podróż, z której nie wiadomo kiedy powrócić może. Wiadomości tej udzielił sam pan Grzegorz swoim dostawcom, dodając, że pan jego nadal zatrzymuje pawilon do swojej dyspozycji, aż do dnia w którym otrzyma rezultat pomyślny ze sprawy, związanej z tą podróżą. Wydarzenie to, chociaż nieoczekiwane, nie wywołało zbytniego wrażenia.

W dniu wyjazdu pan Grzegorz powrócił do domu jeszcze wcześniej, niż zazwyczaj, i zajął się przyrządzeniem obiadu dla swojego pana. Obiad ten składał się jedynie z zimnych mięsów, pochodzących z wędliniarni sąsiedniej i ciast zakupionych u piekarza.

Pan Grzegorz nakrył stół, położył dwa nakrycia i postawił przed nimi dwie butelki starego burgunda, poczem usiadł i oczekiwał na przybycie pana.

W pokoju jadalnym panował nieład, świadczący o przygotowaniach do podróży. Niedaleko stołu stała na krześle waliza, otwarta do połowy, napełniona rzeczami, na komodzie leżała książka i przewodnik kolejowy.

Upłynęło pół godziny: Pan Grzegorz nie poruszył się ze swojego miejsca. Nagle zadrżał, wyprostował się, zdając się nasłuchiwać. Szmer zaledwie dostrzegalny dobiegł go z korytarza, przytykającego do pokoju. Drzwi się bez szelestu otworzyły i na progu stanął „nieznajomy”. Był to człowiek trzydziestokilkuletni o twarzy nerwowej i przynębionej. Oczy jego były wyraziste, głębokie i badawcze. Cerkę twarzy miał ciemną, prawie oliwkową, jak mają zazwyczaj ludzie, przebywający długo w gorących, południowych strefach.

— Jest pan punktualny, jak widzę — rzekł do pana Grzegorza głosem zadowolonym — i muszę panu podziękować za jego gorliwość. Czy pówóz zamówiony?

— Tak, proszę pana.

— Na godzinę dziesiątą?

— Na wpół do dziesiątej. Czekać będzie na końcu pasażu Dueé.

— Doskonale — przytaknął nieznajomy. — Widzę, że i waliza gotowa i koce do podróży. Możemy więc siadać do stołu. Proszę, niech pan zajmie miejsce, panie Grzegorzu, a ponieważ mamy jeszcze kilka godzin przed sobą, należy się dobrze posilić i pokrzepić kilku szklankami tego burgunda.

Mówiąc to, usiadł, wskazując ręką drugi stółek towarzyszowi. Nieznajomy jadł z prawdziwym apetytem. Nie przeszkadzało to mu bynajmniej nawiązać rozmowę z panem Grzegorzem, głęboko wzruszonym życzliwością, jaką mu okazywał jego pan, nie bardzo zwykle skłonny do wynurzeń.

— Nie uwierzysz, panie Grzegorzu — mówił zadowolonym głosem — jak szczęśliwym czuję się dziś wieczór. Już od dzisiaj nie będę zmuszony otaczać się tajemnicą, która na dobre nużył mnie zaczynała. Będę więc mógł odtąd zająć w świecie stanowisko, należące mi się prawnie przez urodzenie moje i majątek.

— Przyznaję, że ta wiadomość cieszy mnie bardzo — odparł pan Grzegorz — bo ta egzystencja, którąśmy dotąd wiedli, nie odpowiadała zupełnie mojemu usposobieniu i gdyby była przeciągnęła się jeszcze, byłbym zapadł w jaką ciężką chorobę.

— Dlaczego mi pan o tem wcześniej nie powiedział?

— Nie śmiałem.

— Co za dzieciństwo! Mam nadzieję, że będzie pan szczerzy wobec mnie, kiedy obierzemy inny tryb życia.

— Oh, jak najchętniej!

— Leż pan ma lat właściwie, panie Grzegorzu?

— Blisko czterdzięci.

— Czy pan opuścił swoje miejsce urodzenia, kiedy wszedłeś do mojej służby?

— Tak, panie.

— Pan pochodzi z Limoges, zdaje mi się?

— Tak jest, proszę pana.

— Ah, tak! Przypominam sobie teraz! I to imię Grzegorz, którego pan używa jako nazwisko, to było tymczasowo wzięte, nieprawdaż? Wstydził się pan swojego stanowiska rządcy wobec swoich dawnych przyjaciół?

— Pan naprawdę odgadł wszystko. Bo widzi pan, rodzina moja nie zawsze była uboga. Mój

ojciec, który już dziś nie żyje, został zrujnowany przez notaryusza, któremu powierzył swój majątek i który znikł nagle, zabierając wszystko! Mój Boże! Człowiek musiał się więc wziąć do jakiejś pracy!

— Odrzucił więc pan nazwisko Bonnet, zamieniając je na obecne?

— Tak jest.

— To było całkiem rozsądne. Ale mam nadzieję, że to wszystko się skończy wkrótce. Będę mógł dać panu u siebie stanowisko takie, że przedstawiciel rodziny Bonnet będzie mógł bez wstydu pokazać się w Limoges!

— Oh, panie! Jakże się ja panu za to odwdziżyć zdołam.

— Nie mówmy o tem... i zapalmy cygara przed odjazdem.

Nieznajomy mówiąc to, sięgnął ręką do kieszeni surduta, ale widocznie nie znalazł tego, czego szukał, bo zawołał natychmiast ze zdziwieniem:

— Do diabła! Przypominam sobie teraz! Zostawiłem papierosnicę na kominku, w sypialnym moim pokoju.

— W takim razie przyniosę ją panu natychmiast — zawołał pan Grzegorz, powstając.

— Ah! jeżeli pan tak grzeczny!

— Zaraz będę z powrotem.

Pan Grzegorz udał się do drugiego pokoju i słyhać było przez otwarte drzwi, jak chodził tam i z powrotem, szukając żadanego przedmiotu.

Tymczasem zaś nieznajomy wydobył z kieszeni flakonik szczególnego kształtu, otworzył go ostrożnie i wpuścił kilka kropel zawartego w nim płynu do odkorkowanej butelki z winem. Po chwili twarz jego, cokolwiek ożywiona i niepokojna, przybrała dawny, nieprzenikniony wyraz.

— Oto cygara! — rzekł, wchodząc pan Grzegorz, podając swojemu panu papierosnicę.

Nieznajomy spieszenie zapalił cygaro i spojrział na zegarek.

— Wpół do dziesiątej! — rzekł. — Czas przygotować się do odjazdu. No, panie Grzegorzu, niech pan wypije jeszcze tę ostatnią szklankę, a potem zanieś pan do powozu walizę i koce.

Pan Grzegorz zbliżył się do stołu i duszkiem wychylił szklankę, przygotowaną przez nieznajomego, który patrzył na niego, uśmiechając się. Pan Grzegorz postawił szklankę na stole i zamierzał unieść walizę, kiedy nagle zbladł silnie i rozpaczliwym ruchem pochwylił się za piersi.

— Co panu jest? — zapytał żywo nieznajomy, podchodząc do niego.

— Oh! Tu... tu!... — wołał nieszczęśliwy — odczułem...

— Co? Co takiego?

— Odczułem ból straszny... piekący...

— Eh, to nic, to przejdzie! Wypiliśmy dzisiaj dosyć wina...

— Ah! Mój Boże!...

— Może się pan napije szklankę wody?

— Nie, nie! Oh, zdaje mi się, że ból jest mniej silny...

— Doprawdy! Lękałem się już o pana, sądziłem, że...

Nieznajomy nie dokończył rozpoczętego zdania. Twarz pana Grzegorza pokryła się siną bladeścią, palce jego konwulsyjnie ucpiły się brzegu stołu, a z czoła spływały mu grube krople potu.

— Ah, ginę! — wyszeptał, z trudem chwytając powietrze. — Wody, wody! Ogień straszny pali mi wnętrzności!...

Ale nieznajomy nie poruszył się wcale na to rozpaczliwe wołanie.

— Umieram! Ratunku!... — wymówił jeszcze pan Grzegorz ledwie dosłyszalnym głosem. — Panie, panie! Ratuj mnie! Wody!...

Nieznajomy, nie zwracając uwagi na niego, wydobył zegarek.

— Ah! Co za nieprzyjemność — wyrzekł z podrażnieniem. — Będę zmuszony sam jechać.

— Przez litość, ratuj mnie!

— Nie krzycz tak, głupcze!

— Co? Co? Ah!... Rozumiem... to wino było zatrute!...

— Bardzo możliwe!

— I to pan, pan!

Głos zamarł w krtani nieszczęśliwego. Skoczył na środek pokoju, okręcił się wokoło siebie i wkońcu runął na podłogę, podrywany spazmatycznym drganie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)